

Miś, Bogdan

Mój Pruszków

Przegląd Pruszkowski nr 2, 48-52

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

łoby oczekiwać stopień stabilizacji migrantów związany jest z wielką siłą przyciągającą Warszawy. Wpływ Warszawy, jak to potwierdziły badania, jest istotny zarówno przy napływie ludności do tych miast jak i przy jej odpływie.

¹ Badania zostały przeprowadzone w lipcu 1977 roku wśród migrantów, którzy ukończyli przynajmniej 16 lat i przenieśli się do tych miast na przestrzeni lat 60-tych a zwłaszcza 70-tych. W sumie przeprowadzono 215 wywiadów w Pruszkowie (przede wszystkim na osiedlu Parkowa) oraz 171 wywiadów w Brwinowie. Dokładne wyniki tych badań zawarte są w pracy pt: Migracje ludności, ich uwarunkowania i przyczyny w strefie podmiejskiej Warszawy. Maszynopis tej pracy znajduje się w Bibliotece Instytutu Gospodarstwa Społecznego przy SGPIŚ w Warszawie.

² Do takich wniosków doszedł m.in. A. Ochocki: Migracje osób z wyższym wykształceniem. Artykuł na międzynarodowe seminarium pt. Narodowy Spis Powszechny jako źródło informacji o migracjach ludności w Polsce. Kołobrzeg 5—7.10.1978.

³ K. Kuciński i W. Rakowski: Przemienne zróżnicowania ciężarów migracyjnych ludności regionu warszawskiego. „Monografie i opracowania”. SGPIŚ Warszawa 1976, ss. 70—71.

⁴ Chodzi tu o te dzieci, które opuściły dom rodzinny.

⁵ Stosunek miejsc pracy do miejsc zamieszkania zatrudnionych jest wyrównany, por. K. Dziewoński, M. Jerczyński: Statystyczna charakterystyka miast. Funkcje dominujące. GUS 1977.

⁶ K. Dziewoński, M. Jerczyński... jw.

⁷ por. W. Rakowski: Migracje ludności miasta Pruszkowa. „Rocznik Pruszkowski” 1977, s. 11.

⁸ Większość pracowników wyjeżdżających z Pruszkowa znajdowała zatrudnienie na terenie Warszawy, reszta zaś przeważnie na obszarze byłego powiatu pruszkowskiego, por. W. Rakowski... jw. s. 18.

BOGDAN MIŚ

Mój Pruszków

Niezbyt często bywam dziś w Pruszkowie i nie są to już radosne okazje. Wiążą się niemal wyłącznie z odwiedzinami moich bliskich na cmentarzu pod Komorowem. Leży tam moja matka, babcia, jej bracia i ich żony, moi wujowie, ciotki, pradziadowie. Wszyscy niemal rodzili się, żyli i umierali w tym mieście.

Ja sam urodziłem się w Warszawie i pierwsze moje zapamiętane obrazy Pruszkowa — widziane dziś z perspektywy lat jak przez mgłę — pochodzą z roku 1940. Pamiętam właściwie tylko wielką biel i straszna zimę, która ośnieżyła grubo łąki między ulicą Twardą a torami kolejki EKD i szpitalem tworkowskim. Tam właśnie, na Twardej zamieszkaliśmy w owym roku 1940 po ucieczce z Warszawy. Mój ojciec, od Września przebywający za granicą, był przed wojną zaangażowany w działalność antyniemiecką. Był także intelektualistą — i każda z tych rzeczy oddzielnie wystarczyła, by okupant zagrażał represjami rodzinie, Matka nieco naiwnie uznała zatem dalsze mieszkanie w Warszawie za niebezpieczne i przeniosła się do swego rodzinnego miasta — właśnie do Pruszkowa. Naiwność polegała oczywiście na tym, że Pruszków — to przecież już wówczas było niemal przedmieście Stolicy i gdyby Niemcy istotnie byli na nas szczególnie zawzięci, to nie sądzę, by odnalezienie nas było trudne.

Może się jednak mylę w tej ocenie. Może istotnie to przeniesienie do Pruszkowa uratowało nas — jak zawsze głęboko wierzyła matka? W każdym razie tak właśnie zaczęło się moje pruszkowskie dwudziestolecie.

Z okresu okupacji pamiętam niewiele. Znów jakieś luźne obrazy: szarozielone mundury Niemców, pachnące upałem łąki i drzewa, jakieś bajatyki z kolegami z ulicy, jakieś spotkania w domu z ludźmi, któreś całkiem źle ukrywali przed dzieckiem chowane za paskiem pistolety i usiłowali bagatelizować podsłuchane przeze mnie rozmowy o jakichś akcjach, strzelaninach... Mówili, że opowiadają mamie o przeczytanych książkach.

Ale ja wiedziałem, że to prawda — stawało się to jasne zwłaszcza wówczas, gdy wychodziliśmy w kierunku szosy warszawskiej, aby popatrzeć na jakiś samochód który jechał o umówionej godzinie ze stolicy. Dorośli byli wówczas smutni, a ja wiedziałem, że tym samochodem wraca z Warszawy ktoś, kto nigdy już nas nie odwiedzi. Ktoś, kto walczył i zginął.

Nic z tego jednak nie rozumiałem. Nawet gdy mieszkańców domu przy ulicy Twardej 8 wygarnięto kiedyś na niewielkie podwórze i podstawiono pod ścianą z rękami na głowie — też w gruncie rzeczy wydawało mi się, że to taka dziwna zabawa dorosłych. Nawet gdy w sierpniu 1944 roku nad Warszawą wisiał ogromny tuman dymu, a w naszym mieszkaniu czarno umundurowany Niemiec wygrażał pistoletem mamie i babci, krzycząc przy tym głośno i niezrozumiale — też nie wiedziałem dlaczego smutna, czarnowłosa kobieta o wielkich, pięknych oczach ukrywa się na strychu naszego domu — ani dlaczego radio w mieszkaniu mojej ciotki trzeba wciąż chować do skrytki.

Sądzę, że zacząłem coś rozumieć dopiero w rok chyba później, gdy spod ściany następnego domu na naszej ulicy wykopywano ciała rozstrzelanych. Ten okropny odór będę już pamiętał całe życie.

Pruszków już żył wówczas inaczej. W naszym domu mieszkał na kwarterze cudowny lejtnant Armii Radzieckiej, Borys Samsonow, który dawał mi się bawić prawdziwym naganem i nazywał mnie „Bohdan-tolka-nie-Chmielnickij”. Był też taki dzień, kiedy wszyscy ogromnie się radowali i strzelali w powietrze; ja też otrzymałem ku przerażeniu moich pań pozwolenie na grzmotnięcie przez okno klatki schodowej z nagana. To był 9 maja...

Poszedłem do szkoły. Najpierw — bardzo krótko — byłem w szkole im. Żółkiewskiego. Przyjęto mnie do czwartej klasy, bo coś niecoś — jak widać, sporo — nauczono mnie w domu. Zaraz potem wylądowałem w szkole nr 1, noszącej wówczas miano Józefa Piłsudskiego.

I znów — niewiele pamiętam. Pamiętam wychowawczynię, którą zresztą odwiedzaliśmy przez wiele lat, aż do jej śmierci — panią Ziemiakównę — cudowną, czułą, wrażliwą kobietę. Pamiętam komendy wydawane przez dyrektora szkoły „sztandar idzie — czapki zdejm”, gdy rozpoczynały się kolejne lata nauki. Pamiętam niektórych kolegów z tego okresu — z kilkoma utrzymuję luźny kontakt do dziś, kilku już zmarło. Myślę jednak, że można zaniedbać szczegóły — najważniejsze jest ogólne wrażenie, a ono jest dobre. To była dobra szkoła, to byli wspaniali nauczyciele.

Szkołę podstawową skończyłem w roku 1949. Powstał problem — co dalej? Do wyboru było gimnazjum im. T. Zana, w którym uczyła polskiego moja ciotka, Stanisława Ostrowska — i ówczesne gimnazjum im. H. Sienkiewicza. Wybór padł na to drugie — nie chcieliśmy, by ktokolwiek posądził ciotkę o protekcję.

Stanałem więc do egzaminu. Matematyka poszła mi dość słabo, bowiem albo program klasy siódmej nie został w naszej szkole zreali-

zowany do końca, albo też moje liczne wówczas choroby zawiniły. W każdym razie układ równań z dwiema niewiadomymi stanowił poważny problem.

Znacznie lepiej było z polskim. Tyle, że po rodzinie rozeszła się wieść, że „Bogdanek napisał strasznie „czerwone” wypracowanie”.

Tu dygresja. Moja rodzina była dość dziwna jeśli idzie o nastroje polityczne. Część witała zachodzące wówczas zmiany z pewną rezerwą, część zaangażowała się po stronie władzy ludowej do końca. Na cmentarzu leży stryjeczny brat mojej matki, postrzelany kulami podziemia funkcjonariusz władz bezpieczeństwa — ale leżą tam i ludzie, którzy do końca swego życia patrzyli na nową rzeczywistość nieufnie.

Jeśli idzie o mój własny światopogląd, już wówczas jednoznacznie jako się rzekło „czerwony” — to zawdzięczam go chyba najbardziej babci. I ona i jej mąż byli silnie zaangażowani w pruszkowskim ruchu robotniczym od okresu sprzed pierwszej wojny światowej jeszcze — i opowieści o tym, jak dziadek siedział w Cytadeli za współudział w zamachu na Skąłona niewątpliwie silnie oddziaływały na umysł dziecka. Co tu dużo mówić — jedną z pierwszych zapamiętanych przeze mnie melodii była nucona przez babcie „Międzynarodówka”. No i przyspiewki ułańskie, dla równowagi.

Tak więc zostałem przyjęty do gimnazjum Sienkiewicza. Na dwa lata — jak się okazało; potem bowiem szkoła ta zmieniła profil, zaś gimnazjaliści znaleźli się na ogół w gimnazjum i liceum im. T. Kościuszki. Wówczas była to szkoła Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, pierwsza chyba szkoła w Pruszkowie całkowicie świecka i otoczona nimbem „czerwonej”, w odróżnieniu od „przyzwoitego” Zana. Ja tam też trafiłem, rzecz jasna.

Są to jednak czasy późniejsze i z pewnych powodów — o których niżej — mniej miłe. Na razie był „Sienkiewicz” — i entuzjizm nowej organizacji, nowych zadań. Zostałem przyjęty do ZMP.

Wspominam te chwile z najwyższym i serdecznym wzruszeniem. Dziś czasem zastanawiam się, czy to wzruszenie nie wynika przypadkiem stąd po prostu, że wówczas zaczynał się dla mnie wiek młodości — i czy pewien krytycyzm w spojrzeniu na dzisiejszych młodych ludzi i ich stosunek do organizacji młodzieżowych nie jest rezultatem lub dowodem tego, że się zwyczajnie zestarzałem. Ale nie sądzę.

Wstąpienie do ZMP w owych czasach — to była duża sprawa. Zarówno dlatego, że była to organizacja nieliczna z początku, i — co tu ukrywać — przez wielu widziana niechętnie, jak też dlatego, iż przyjęcie do niej wcale nie było formalnością. Potrzebne były rekomendacje, dość długo trwał okres wyczekiwania (ja zgłosiłem akces jeszcze w roku 1949, zaś przyjęto mnie niemal w roku później), wreszcie moment przyjmowania to było, prawdziwe „pranie mózgu” — trzeba było bardzo szczegółowo opowiedzieć o sobie, odpowiadać na liczne i często agresywne pytania...

Organizacja miała ogromne uprawnienia, zapewne nawet za duże. Młodzi ludzie o słabszych charakterach mogli popaść w upojenie władzą — na wniosek ZMP można było usunąć z drogi każdego i nie konieczne musiało być wniosek najrzetelniej umotywowany. Ale przy wszystkich zastrzeżeniach — nie sposób odmówić waloru wychowawczego faktowi traktowania wówczas młodzieży całkowicie serio.

Zarząd Miejski ZMP mieścił się przy ul. Bolesława Prusa, w starym, odrapanym budynku. Jego wnętrze wyglądało tak jak elewacja — było ciemno, wilgotno, urządzenie spartańskie. Może mnie dziś pamięć zawodzi, ale wydaje mi się, że działacze etatowych niemal nie było. Całą prawie robotę ciągnął aktyw społeczny; istniało pojęcie „instruktora

nieetatowego" i — wydaje mi się — to był, przynajmniej z początku, trzon organizacji.

Byłem tam co dzień. Niestety, nazwiska moich ówczesnych przyjaciół — umknęły. Zostało jednak coś ważniejszego — pamięć od tym, co Francuzi nazywają „esprit du corps”, „duch drużyny”. Mogliśmy po prostu liczyć na siebie nawzajem; i nieważne, że w kilka lat później okazało się to złudzeniem.

Dwie ostatnie klasy — dziesiątą i jedenastą, maturalną — kończyłem już w TPD (jakoś do dziś nie umiem mówić „u Kościuszki”). Kilka słów więc o tej szkole, wspomnianej przeze mnie z tzw. mieszanymi uczuciami. W owych czasach nie było jeszcze wspaniałej sali gimnastyczno-widowiskowej, ani w ogóle nic poza głównym budynkiem. Był ciasny, pachniał pyłochłonem — ale miał atmosferę. Najważniejsze zaś było grono pedagogiczne, dziwna mieszanina starego z nowym.

Najmilej wspominam z tego grona trójkę. Cudownych, kulturalnych i niebywale wytwornych pp. Fedorowiczów — obydwójce byli matematykami, on ponadto uczył łaciny. Zwłaszcza Pani Zofia! Nie pamiętam, by podniosła głos. Nie pamiętam, by kiedykolwiek „wykładała” — zawsze jakoś tak umiała poprowadzić lekcję, że sami odkrywaliśmy prawdy matematyczne. Stała sobie z boku, lekko uśmiechnięta, niezwykle elegancka starsza pani — i leciutko naprowadzała delikwenta na właściwe rozumowanie. Nawet ci, którzy mieli trudności z matematyką — Panią Zofię, naszą „Fuńcię”, kochali i szanowali.

Zupełnie osobną postacią był Wojciech Wyganowski, zwany „Mopsem”. Uczył nas historii. Użyłem słowa „uczył”, ale nie znam kogoś bardziej odległego od klasycznego nauczyciela. Liberał, o niezwykle szerokich horyzontach myślowych, prawdziwy intelektualista. Pisywał — jego książki utrzymane trochę w nastroju Kafki, Bruno Schulza, Gombrowicza ukazały się drukiem, ale nie wzbudziły zainteresowania tak dużego, na jakie niewątpliwie zasługują. Szkoda, bo to wielki pisarz.

Nienawidził szkoły. Wyśmiewał się z formalnej dyscypliny i belferskiej tępoty. Uczył nas cieszyć się życiem — i sądzę, że prywatne spotkania w Jego willi w Podkowie Leśnej (uczestniczyła w nich niemal cała klasa) dały nam więcej w sensie rozwarcia horyzontów myślowych, niż opanowanie całego programu historii...

Gdy nadeszły egzaminy maturalne i jeden z kolegów pozwolił sobie na bezczelny bluff, zmyślając po prostu daty i fakty — „Mops” rycząc ze śmiechu wyturlał się z sali egzaminacyjnej i bawił się setnie sytuacją razem z urzędującą pod drzwiami „giełdą”: okazało się, że Wysoka Komisja miała wiedzę historyczną na poziomie zdającego... Nikt nic nie zauważył, albo też niektórzy nie chcieli zauważyć. Andrzej zdał oczywiście. Skończył potem prawo i był — o ile wiem — wziętym adwokatem...

Mnie osobiście tuż przed egzaminem „Mops” powiedział: „Druga kartka od lewej — Bolesław Chrobry. Pasuje?”. Pasowało.

Byli i inni nauczyciele. Dużym szacunkiem cieszyła się pani Ogłoblin, która naprawdę potrafiła nauczyć nas rosyjskiego — choć z racji jej ostrych wymagań i „krótkiego trzymania” nie przepadano za nią. Dobrze uczyła polskiego „Stasia”, czyli p. Ingerowa — choć jej egzaltowana miłość do Słowackiego i polemiki z kultem Mickiewicza wzbudzały naszą nieumiarkowaną wesołość. Wspaniałym człowiekiem był nauczyciel WF, p. Słoniewicz — potrafił nas zarazić sportem do tego stopnia, że w pewnym momencie cała krajowa czołówka w jeździe na lodzie to byli moi koledzy, zaś miasto Pruszków słyneło na Mazowszu z dobrej lekkoatletyki i koszykówki, także w dużej mierze dzięki niemu.

Było także w gronie nauczycielskim ze dwóch regularnych wariatów, z wyraźnymi objawami schizofrenii. był także jeden z dyrektorów,

o którym tylko z uwagi na upływ lat nie napiszę wszystkiego do końca. Zawsze tylko będę ciekaw — czy zdawał sobie sprawę, jak bardzo był nienawidzony i ile złego zrobiły jego metody rządzenia (dziś nazwalibyśmy to łagodnie „arbitralnością” i „woluntaryzmem”; w gruncie rzeczy była to zwykła brutalność i brak kultury połączone z ignorancją we wszystkich możliwych dziedzinach wiedzy).

Tuż przed maturą (1953) zaczęły się dziać niedobre rzeczy. Kilku moich kolegów zniknęło ze szkoły na pewien czas, gdy zaś wrócili — oświadczyli, że nie wolno im mówić gdzie byli i co robili. Na zebraniach ZMP nie było już „drużyny” — patrzyliśmy na siebie nieufnie, zdarzało się, że prezydium ni stąd, ni zowąd przestawało określonym osobom udzielać głosu pod pozorem „zamknięcia listy mówców”. Ja po raz ostatni wystąpiłem na szkolnej konferencji w obronę kandydatury do władz organizacyjnych jednej z koleżanek, której matka miała prywatny zakład, bodajże kapeluszniczy. Już potem nigdy w Pruszkowie nie udzielono mi głosu.

Maturę zdałem z tzw. pierwszą lokatą. Poza mną jeszcze dwoje moich kolegów spełniało wymogi formalne do uzyskania dyplomu „Przodownika nauki i pracy społecznej”, uprawniającego do wstępu na wyższą uczelnię bez egzaminu. Nikt z nas tego dyplomu nie dostał.

Gdy w kilka miesięcy później siedziałem w gabinecie Rektora Uniwersytetu Warszawskiego, profesora Stanisława Turskiego, na rozmowie odwoławczej — mimo zdania egzaminu wstępnego nie zostałem przyjęty na matematykę, którą zaraziła mnie pani Fedorowiczowa — na biurku Magnificencji leżała papierowa teczka z aktami. Profesor, pytany o przyczyny nieprzyjęcia „z braku miejsc” jedyne kandydata, bez słowa pchnął teczkę ręką w moim kierunku i wyszedł z gabinetu. Zrozumiałem.

W teczce była poufna opinia ZMP, całkowicie przekreślająca moje możliwości studiowania gdziekolwiek i czegokolwiek. Podpisali ją moi koledzy. Pamiętam te nazwiska doskonale — ale już nigdy się z nimi nie spotkałem, nigdzie. Po prostu, przez moment, w owym 1953 roku byli kimś. Zaraz potem — przestali po prostu istnieć w sensie publicznym.

A ja wstąpiłem na Uniwersytet w następnym roku. Nie obraziłem się ani na rzeczywistość, ani na ZMP. Zaufali mi inni koledzy — z Zarządu Dzielnicowego ZMP na Ochocie, gdzie przez rok byłem instruktorem nieetatowym; ale to już inna historia, bez związku z Pruszkowem.

W sumie dziś, z perspektywy lat — jestem nawet zadowolony, że dostałem wówczas tego kopniaka. Była to lekcja polityki, lekcja nie utożsamiania ludzi z ideą, lekcja dorosłości. Trudniejszy chyba egzamin od maturalnego.

Mój Pruszków, Pruszków z lat pięćdziesiątych, już w gruncie rzeczy nie istnieje. Koło „mojego” domu na Twardej wyrosły brzydkie domki jednorodzinne i spaprany został widok na tory PKP. Łąki przecina droga szybkiego ruchu. Wielki wiadukt jest zapewne funkcjonalny — ale obcy. Nowozbudowanej — ładnej bardzo — części miasta niemal nie znam.

Więzy z moim miastem są luźne. Ale istnieją. Lubię jadąc nową trasą rzucić okiem na stadion, gdzie Pan Słoniewicz wprowadzał nas w lekkoatletyczne misteria; nawet gdy nie potrzebuję, skręcam zawsze w ul. Prusa by przejechać obok parku, przemierzanego przed laty w drodze do szkoły.

Cieszę się, że zaproponowano mi napisanie tych kilkaset słów. Bo Pruszków — mimo zmian — pozostał „mój”. I gdy dogaduję się z kimś nowopoznanym, że pochodzi z Pruszkowa — czuję do niego z miejsca sympatię.